

Romans, którego nigdy nie zapomnisz!

Kat Martin



Bez serca

Bez serca

Kat Martin

Bez serca

przełożyła
Anna Pajek

bis


Warszawa 2013

Tytuł oryginału: *Heartless*

Projekt okładki: *Olga Reszelska*

Copyright ©2001 by Kat Martin

Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2013

 Prawolubni Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty. Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

ISBN 978-83-7551-369-1

Wydawnictwo BIS

ul. Łędzka 44a

01-446 Warszawa

tel. (22) 877-27-05, 877-40-33; fax (22) 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl

www.wydawnictwobis.com.pl

Rozdział 1



SURREY, ANGLIA, rok 1800

Och, gdybym mogła być taka jak wy. Ariel Summers, skulona za żywopłotem ocieniającym alejkę prowadzącą do wspaniałego Greville Hall patrzyła, jak mija ją wytworny czarny powóz z opuszczoną budą i połączanym herbem na drzwiczkach. Córka lorda, lady Barbara Ross, usadowiona wygodnie na czerwonych aksamitnych poduszkach, śmiała się, gawędząc radośnie z przyjaciółkami, jakby nie miała ani jednej troski.

Ariel wpatrywała się w dziewczęta z tęsknotą, wyobrażając sobie, jak by to było nosić piękne ubrania, suknie uszyte z najprzedniejszego jedwabiu w odcieniach różu, lawendy i niemal opalizującej zieleni – a także dobraną do nich kolorem parasolkę.

Pewnego dnia, pomyślała z nadzieją.

Gdy tylko zamknęła oczy, widziała siebie w mieniającej się złotem sukni, z jasnoblond lokami upiętymi wysoko i smukłymi stopami, obutymi w pasujące do sukni trzewiczki z koźlęcej skórki. Kiedyś też będę miała powóz, przysięgła sobie, i suknię na każdy dzień tygodnia.

Wiedziała jednak, że nie ma co się spodziewać, by nastąpiło to jeszcze dzisiaj, a nawet w dającej się określić przyszłości.

Odwróciła się zatem plecami do znikającego w oddali powozu, uniosła skraj brązowej spódnicy z szorstkiego

materiału, odsłaniając mocne, praktyczne buciki, i pobiegła z powrotem do chaty. Powinna wrócić już przed godziną. Ojciec będzie wściekły, jeśli odkryje, czym się zajmowała. Modliła się, aby nie wrócił jeszcze z pola.

Niestety, kiedy uniosła skórzaną zasłonę zastępującą latem drzwi, Whitby Summers już na nią czekał. Westchnęła, gdy chwycił ją mocno za ramię i pchnął na ścianę z plecionki zarzuconej szorstkim tynkiem. Zmusiła się, by spojrzeć w jego nabrzmiałą, zaczerwienioną twarz, a potem skrzywiła, kiedy wymierzył jej policzek.

– Mówiłem, żebyś nie zwlekała. Kazałem ci odnieść szycie i wrócić. A ty co robiłaś? Gapiłaś się na damy w wymyślnym powozie? Śniłaś na jawie, jak zwykle, prawda? Marząc o czymś, czego nigdy nie będziesz miała. Pora stawić czoło prawdzie, dziewczyno. Jesteś córką dzierżawcy i tak już zostanie. A teraz ruszaj na pole.

Ariel nie sprzeczała się, po prostu umknęła przed gniewem widocznym na zaczerwienionej twarzy ojca. Na zewnątrz zaczerpnęła drżącego oddechu i przerzuciła przez ramię jasny warkocz. Policzek nadal palił ją od ciosu, uznała jednak, że było warto.

Pośpieszyła ku warzywniakowi, zacisnąwszy z uporem wargi. Nieważne, co mówi ojciec, pomyślała, przytrzymując powiewający na wietrze fartuch. Pewnego dnia zostanie damą. Whit Summers nie był jednym z wróżbitów, których widziała w zeszłym roku na jarmarku. Nie potrafił zajrzeć w przyszłość – zwłaszcza jej przyszłość. Stworzy sobie lepsze życie, ucieknie od ponurej egzystencji, jaką zmuszona była wieść teraz. Jej los należy tylko do niej i czeka gdzieś tam, z dala od spłachetka ziemi, na którym gospodarował ojciec.

Odkąd zmarła matka, Ariel pracowała od świtu do zmierzchu. Zamiatała podłogę składającej się z dwóch izb chaty i przygotowywała nędzne posiłki z tego, co mógł zapewnić niewielki skrawek dzierżawionej

ziemi, zbierała ziemniaki i rzepę, pełta i okopywała warzywa w ogródku i pomagała ojcu przy zbożu.

Od tej właśnie ponurej, monotonnej, nieskończonej nużącej egzystencji zamierzała uciec. Przysięgła sobie, że to zrobi.

I miała plan.



Edmund Ross, czwarty lord Greville, kończył właśnie comiesięczną inspekcję pól uprawianych przez dzierżawców. Dzień był wyjątkowo upalny, żar lał się z nieba, wypalając ziemię i przydając rozjeżdżonym drogom twardości granitu. Zazwyczaj wołał dosiadać przy tej okazji któregoś z wierzchowców czystej krwi, lecz dzisiaj, ze względu na pogodę, wziął lekki faeton, mając nadzieję, że buda ochroni go choć trochę przed słońcem.

Powoził, rozparty wygodnie na wyściełanym skórzanym siedzeniu i wdzięczny za najłagodniejszy powiew północnego wiatru. W wieku czterdziestu pięciu lat nadal był atrakcyjnym mężczyzną o falujących czarnych włosach przetykanych srebrem i oliwkowej cerze. Zalety te doceniały zwłaszcza panie. W młodości miał wiele romansów – jako dziedzic włości oraz tytułu mógł zdobyć niemal każdą z dam. Lecz z wiekiem jego gusta uległy zmianie. Teraz bardziej niż talent i doświadczenie cenił sobie młodość oraz niewinność.

Wspomniał swoją obecną kochankę, Delilah Cheek, młodziutką dziewczynę, którą utrzymywał w Londynie. Była córką aktorki, jego niegdysiejszej kochanki. Sypiał z Delilah od ponad roku i jej młode, nierozwinięte ciało nadal go podniecało. Na samą myśl o małych, jędrnych piersiach i długich miedzianych włosach twardniał mu członek. Wziął ją na utrzymanie, gdy miała szesnaście lat i była dziewicą. Od tego czasu wiele się nauczyła, a raczej on ją nauczył, jak ma go zadowalać.

Ostatnio jej figura zaczęła jednak się zmieniać, nabierać kobiecych kształtów. Delilah dojrzywała i wkrótce straci dla niego powab. Tęsknił, jak zawsze, za pięknem i niewinnością.

Na Boga, kłopotliwe upodobania.

Wrócił myślami do czasów młodości i stłumił przekleństwo. Ożeniono go, gdy miał zaledwie dziewiętnaście lat. Było to zaaranżowane małżeństwo i pozostawiło gorzkie wspomnienia przestraszonej, oziębłej żony, dawno zmarłej, która dała mu córkę – piękną, acz bezużyteczną. Potrzebował syna oraz dziedzica.

Oczywiście, był jeszcze Justin, bękart, którego spłodził z córką miejscowego dziedzica, Isobel Bedford. Isobel była piękna, nieposkromiona i równie pożądana jak on. Nie uwierzyłby, że chłopak jest jego, jednak fizyczne podobieństwo – i wrogość pomiędzy nimi – stanowiły oczywisty dowód.

Kiedy powozik skręcił w polną drogę prowadzącą do chaty Whitby'ego Summersa, wrócił na krótko myślami do Delilah i tego, co zrobi z jej młodym ciałem, kiedy znów znajdzie się w mieście. Na widok jasnowłosej córki Whita, czternastoletniej Ariel, jego myśli zmieniły wszakże kierunek. Ariel była na swój wiek wysoka, smukła jak trzcina, o chłopięcej sylwetce, która nie zaczęła jeszcze nabierać kobiecych kształtów. Jednak ze swymi długimi lokami o barwie lnu, wielkimi, intensywnie niebieskimi oczami, wygiętymi w łuk Kupidyna miękkimi ustami i trójkątną twarzą zapowiadała się na prawdziwą piękność.

Kiedy przychodził do jej ojca, zawsze był wobec dziewczyny uprzejmy. Nie dojrzała jeszcze na tyle, by się nią zainteresować, uznał jednak, iż nie zaszkodzi, jeśli zaskarbi sobie na przyszłość jej względy.



Ariel patrzyła, jak smukły czarny faeton zatrzymuje się przed domem. Spodziewała się, że lord przyjedzie, pojawiał się bowiem zawsze tego samego dnia miesiąca.

Wyglądziła pospiesznie zwyczajną niebieską spódnicę i czystą białą bluzkę, wypraną poprzedniego wieczoru specjalnie na tę okazję. Potarła nieświadomie udo w miejscu, gdzie ojciec poprzedniego dnia zdzielił ją batem, oskarżając, że flirtowała z Jackiem Dobbsem, najmłodszym synem bednarza. Nie było to prawdą. Jack Dobbs był po uszy zadurzony w najlepszej przyjaciółce Ariel, Betsy Sills, córce rzeźnika, lecz kiedy Whit Summers się upił, prawda nie miała znaczenia.

W pewnym sensie była nawet zadowolona, że ją ukarał. Potrzebowała bodźca, by wprowadzić w czyn z dawną obmyślony plan.

Gdy chmura kurzu spod kół opadła, lord zaciągnął hamulec i wysiadł. Uznała, że jest całkiem przystojny, z tymi przetykanymi srebrem włosami i dziwnymi, szarymi oczami – przynajmniej jak na mężczyznę w tak zaawansowanym wieku.

– Dzień dobry, milordzie – powiedziała, dygając głęboko, z szacunkiem. Ćwiczyła ukłon przez kilka dni, więc jakoś udało jej się zachować równowagę.

– Rzeczywiście, dzionek mamy dziś piękny, panno Summers. – Przesunął po niej pełnym uznania spojrzeniem. Ilekroć to robił, czuła się jak kobieta, nie dziewczyna. – A gdzież to przebywa szanowny tatuś?

– Miał coś do załatwienia we wsi. Zapomniał pewnie o wizycie. – A ona specjalnie mu nie przypomniała. Chciała, by zniknął i by mogła porozmawiać z lordem na osobności.

– Przykro mi, że się rozminęliśmy, ale to bez znaczenia. – Spojrzał z aprobatą na pole. – Widzę, że zbiory bę-

dą obfite. Jeśli pogoda się utrzyma, dostarczycie do dworu solidną miarę zboża.

– Na pewno – przytaknęła. Lord odwrócił się i ruszył ku powozowi, chwyciła go więc za ramię. – Proszę wybaczyć, milordzie, ale chciałabym o czymś z panem porozmawiać.

Uśmiechnął się i odwrócił.

– Oczywiście, moja droga. Cóż to takiego?

– Czy uważa pan... że jestem ładna? – Sądziła, że mu się podoba, gdyż zawsze przypatrywał się jej w dziwnie szacujący sposób, mimo to wstrzymała oddech. Jeśli lord zaprzeczy, jej plan spali na panewce.

On rozciągnął jednak wargi w powolnym, pełnym uznania uśmiechu. Badał przez chwilę spojrzeniem jej twarz, usta, linię szczęki, a potem przesunął wzrok niżej, na piersi. Pożałowała, że nie są pełne i krągłe jak u Betsy.

– Bardzo ładna, Ariel.

– Myśli pan, że mężczyzna... ktoś taki jak pan... mógłby... to znaczy, za kilka lat... zainteresować się dziewczyną taką jak ja?

Lord Greville zmarszczył brwi.

– Interesować można się w różny sposób, Ariel. Pochodzimy z innych warstw społecznych, nie oznacza to jednak, że nie możesz mi się podobać. Uważam, że wyrośniesz na piękną młodą kobietę.

Serce poskoczyło jej w piersi.

– Skoro tak – powiedziała z nadzieją – zastanawiałam się... to oznacza, słyszałam opowieści... o damach, które utrzymuje pan w Londynie.

Mars na czole powrócił, a wraz z nim wyraz twarzy, którego nie potrafiła rozszyfrować.

– A co dokładnie słyszałaś, moja droga?

– Och, nic złego, milordzie – zapewniła pospiesznie.
– Tylko że dobrze pan te dziewczęta traktuje, kupuje im piękne suknie i w ogóle...

Nie spytał, od kogo to słyszała. Wiedziano powszechnie, że utrzymywał przez ostatnie lata kilka młodych kobiet.

– O co dokładnie chcesz mnie zapytać, Ariel?

– Miałam nadzieję, że pan i ja możemy zawrzeć układ.

– Jakiego rodzaju?

Tama runęła i Ariel nie mogła już się powstrzymać.

– Chcę zostać damą – wyrzuciła z siebie pospiesznie.

– Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Chcę nauczyć się mówić poprawnie, nosić ładne suknie i upinać włosy. – Chwyciła w dłoń masę jasnych loków i uniosła, aby zademonstrować, co ma na myśli. Gdy je puściła, opadły falą aż do bioder. – Gdyby zechciał pan posłać mnie do szkoły, bym nauczyła się tego wszystkiego... Gdybym mogła pójść do jednej z tych szkół dla młodych panien, gdzie uczą, jak być damą, chętnie zostałabym jedną z pańskich dziewcząt.

Przyglądała się, jak zaskoczenie w oczach lorda przechodzi w zamyślenie, czemu towarzyszył zdecydowanie diabelski błysk w oku, i po raz pierwszy ogarnęły ją wątpliwości.

– Chcesz, żebym zapłacił za twoją edukację – to miałaś na myśli?

– Tak, milordzie.

– A w zamian zgadzasz się zostać w przyszłości moją kochanką.

Przełknęła mocno.

– Tak.

– Rozumiesz, co znaczy to słowo?

Zarumieniła się lekko, wiedziała bowiem, że trzeba spać wtedy z mężczyzną w jednym łóżku. Nie była pewna, z czym jeszcze wiązało się bycie kochanką, lecz tak naprawdę nie miało to znaczenia. Chętnie zapłaci każdą cenę, byle wyrwać się spod władzy ojca i uciec od życia na farmie.

– Mniej więcej, milordzie.

Zaczął znów jej się przyglądać, mierząc od stóp do głów spojrzeniem. Czowała się tak, jakby zdzierał z niej ubranie sztuka po sztuce, i z trudem zwalczyła chęć, aby zasłonić się dłońmi. Zamiast tego znośła z godnością badanie, unosząc wysoko brodę.

– To bardzo interesująca propozycja – powiedział.
– Trzeba wziąć, oczywiście, pod uwagę twego ojca, jednak o ile go znam, z pewnością uda się jakoś to załatwić.
– Wyciągnął rękę, ujął Ariel pod brodę, odwrócił jej twarz w jedną, a potem w drugą stronę i przyglądał się uważnie policzkom, delikatnej krzywiznie szczęki. Przesunął palcem po wargach dziewczyny, a potem skinął głową, wyraźnie usatysfakcjonowany.

– Tak... doprawdy bardzo interesująca. Wkrótce się do ciebie odezwę, droga Ariel. Proponuję, byś do tego czasu utrzymała naszą rozmowę w tajemnicy.

– Dobrze, milordzie. Tak zrobię. – Przyglądała się, jak mężczyzna wsiada do powozu, bierze do rąk wodze i zaczyna konie. Serce biło jej mocno w piersi, a dłonie zwilgotniały.

Świadomość tego, że plan zadziałał, wprawiała ją w najwyższe podniecenie. Lecz kiedy osłabło, pojawiła się niepewność. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż zaprzedała duszę za obietnicę lepszego życia.

Rozdział 2



LONDYN, ANGLIA, rok 1802

– Właśnie przybył, milordzie. Mam go wprowadzić?
– Harold Perkins, siwowłosy kamerdyner o pochylonych z powodu wieku barkach, wszedł do sypialni w wiejskiej posiadłości lorda, Greville Hall.

– Tak, i to zaraz. – Edmund podciągnął się z trudem na łóżku i sięgnął po szklankę z wodą stojącą na nocnym stoliku. Kiedy usiłował podnieść ją do ust, dłoń drżała mu tak bardzo, że woda przelała się przez krawędź i zmoczyła pościel. Czekający w pobliżu lokaj pośpieszył panu z pomocą.

Edmund upił łyk i odprawił pełnym zniecierpliwienia gestem lokaja wraz ze szklanką. Drzwi otwały się i do sypialni wszedł, pochylając w progu głowę, niedawno adoptowany syn i dziedzic lorda, Justin Bedford Ross.

– Życzyłeś sobie mnie widzieć? – Głęboki, dźwięczny głos brzmiał dziwnie znajomo. Justin był wysoki, ciemnowłosy i absolutnie nieprzejeđnany. Nie mogło być wątpliwości, że jest jego synem. Miał te same co ojciec kości policzkowe, smukłą budowę ciała, szerokie barki, długie, ciemne i gęste rzęsy. Oczy Justina były ciemnoszare, nie bladobłękitne, jak oczy jego matki.

– Formalności zostały załatwione – powiedział Edmund. – Zgodnie z prawem... jesteś teraz... moim synem i dziedzicem. Niedługo – tak przynajmniej twierdzą lekarze – zostaniesz kolejnym lordem Greville.

Nieprzyjemna myśl wywołała spazm bólu. Pochylił się i zakaszłał gwałtownie, przyciskając do drżących warg chusteczkę. Wytrzeł ślinę ze śladami krwi. Na Boga, nie sądził, że do tego dojdzie, że będzie zmuszony przekazać majątek, swoje dziedzictwo, człowiekowi, który zapamiętało go nienawidził.

Z drugiej strony, nie spodziewał się umrzeć tak wczesnie, przynajmniej nie przed upływem dwunastu lat.

Justin milczał, wpatrując się w niego z niemożliwym do odczytania wyrazem chłodnej, przystojnej twarzy.

Edmund zaczerpnął drżącego oddechu.

– Wezwałem cię z powodu pewnej niezakończonych sprawy, o której chciałbym porozmawiać. Sprawy osobistej...

Czarne brwi Justina uniosły się.

– Osobistej? Interesujące... Ponieważ obaj wiemy o twojej słabości do płci pięknej zakładam, że chodzi o kobietę.

Edmund nie pozwolił się onieśmielić i nie odwrócił wzroku.

– Niezupelnie kobietę, choć wkrótce się nią stanie.

– Zakaszłał tak mocno, że na czoło wystąpiły mu żyły. Przeklął w duchu chorobę płuc, która zabijała go powoli, acz nieubłaganie. Gdy atak minął, opadł na poduszki z twarzą białą jak lniana powłoczka. – Jest moją... powiedzmy, podopieczną.

Skinął na lokaja, by podał mu stosik listów. Ułożył go sobie na piersi, wziął jeden i podał Justinowi. Ten rozłożył długimi palcami arkusz i przebiegł wzrokiem list, robiąc użytek z kosztownego wykształcenia, za które Edmund zapłacił. Nie uznał chłopca, póki nie stało się to absolutnie konieczne, i nie poświęcił mu przez lata nawet jednej myśli, lecz nie uchylał się od finansowych zobowiązań względem dziecka i jego matki.

Justin podniósł wzrok.

– Zadbalesz o wykształcenie tej dziewczyny?

Edmund przytaknął.

– I o inne potrzeby także.

Justin uśmiechnął się kpiąco.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że taki z ciebie dobroczyńca.

Edmund zignorował sarkazm.

– Zawarliśmy swego rodzaju układ. – Wyjaśnił, na czym ów układ polegał, nie wdając się w szczegóły i stawiając dzielnie czoło pogardzie widocznej w oczach syna. – Ariel miała czternaście lat, gdy wyjechała do szkoły. Teraz ma szesnaście. Jej ojciec był w majątku dzierzawcą. Zapił się w zeszłym roku na śmierć. – Zaczepnął świszczącego oddechu. – Zostawiam tę sprawę tobie... załatwisz ją, jak zechcesz.

Justin utkwiał wzrok w liście. W nagłówku widniało po prostu: Szkoła Thornton dla Młodych Panien.

Pan Edmund Ross, lord Greville

Drogi lordzie,

Posyłam Panu moje najlepsze życzenia. Jako że jest to pierwsza próba napisania listu, mam nadzieję, że wybaczy mi Pan błędy. Napisałabym wcześniej, ale dopiero teraz nauczyłam się dosyć, żeby spróbować. Lecz od tej chwili chwycę co tydzień za pióro, żeby zdać Panu sprawę z moich postępów.

Justin zwrócił list ojcu. Edmund utkwiał wzrok w twarzy syna, lecz nie był w stanie dociec, co kryje się za nieprzeniknioną miną.

– I co zamierzasz? – spytał.

Młodzieniec wzruszył obojętnie szerokimi ramionami, tak podobnymi do jego własnych. Ubrany był w czarny surdut i ciemnoszare spodnie, a biel koszuli kontrastowała ostro z ciemną cerą.

– Dałeś słowo. Skoro mam zostać lordem, muszę respektować twoje zobowiązania.

Edmund skinął tylko głową. Z jakiegoś dziwnego powodu czuł, że ogarnia go spokój. Umościł się na poduszkach i położył bezwiednie dłoń na listach. Przeczytał każdy co najmniej pięć razy.

Nie widział dziewczyny od ponad dwóch lat i tak naprawdę wcale jej nie znał. Mimo to czuł, że jest mu bliska w sposób, którego nie potrafił wyjaśnić. Kiedyż to Ariel Summers stała się dla niego ważna? Jak do tego doszło, że aż tak ją polubił? To przez listy, był tego pewien. Wyczekiwał ich każdego tygodnia. Nigdy na żaden nie odpowiedział, gdyż nie wiedziałby, co napisać. Lecz w miarę, jak zawodziło go zdrowie, wieści od Ariel wносиły nieco radości w coraz bardziej ponurą egzystencję starzejącego się, samotnego mężczyzny.

Może uczynił słusznie, ustanawiając Justina dziedzicem. Przynajmniej Ariel będzie miała opiekę. Jego syn mógł gardzić ojcem, którego nie dane mu było poznać, lecz był człowiekiem honoru. I skończył Oksford z najwyższymi ocenami. Odkąd stał się dorosły, dobrze sobie też radził w świecie interesów, i choć miał opinię bezlitosnego, nie składał obietnic, których nie mógłby lub nie chciał dotrzymać.

– Czy to już wszystko? – Ciemne oczy o chłodnym spojrzeniu spoczęły na twarzy chorego. I choć Edmund umierał, w spojrzeniu jego syna próżno by szukać współczucia.

– Tak... Dziękuję, że przyjechałeś.

Justin skłonił się lekko, odwrócił i ruszył bez wahania ku drzwiom.

Udręczone bólem ciało lorda przeszył dreszcz. Mógłby uczynić dziewczynę swoją kochanką, lecz nigdy by jej źle nie potraktował. Wytężył słuch, skupiając uwagę na oddalających się krokach w holu.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że układ, jaki zawarł z Ariel Summers, może przypaść do gustu również jego synowi o zimnym sercu.

Rozdział 3



LONDYN, ANGLIA, rok 1804

*Pan Edmund Ross, lord Greville
Drogi lordzie Greville,*

Mamy dziś w wiejskim Sussex piękny dzień. Drzewa wypuściły już liście, a niebo przybrało barwę najczystsze­go, najbardziej jaskrawego błękitu. Niestety, z konieczności więk­szość czasu spędzam za murami. Nauczyciele, których Pan zatrudnił, są bardzo do­brzy, ale i wymagający. Jestem jednak zdeterminowa­na. Uczę się do późna, a rano wstaję o kilka godzin przed innymi, by wcześniej zacząć nowy dzień. Naj­chętniej spędzam czas na czytaniu. Z początku nie szło mi najlepiej, ale, och, cóż za cudowne drzwi otworzyła przede mną ta umiejętność! Tyle jest po­wieści i sztuk, niewiarygodnie pięknych wierszy oraz sonetów.

Przysięgam, już samo to warte jest ceny, jaką będę musiała zapłacić, by spełnić warunki układu.

Justin Bedford Ross, piąty lord Greville, odłożył list wzięty ze stosu, który trzymał zamknięty w dolnej szufladzie biurka swego gabinetu. Przeczytał wszystkie więcej

niż raz, niektóre z niejakiim rozbawieniem, inne z odcieniem litości, uczucia, którego rzadko zdarzało mu się doświadczać.

Po śmierci ojca, odkąd wprowadził się do starej kamiennej rezydencji przy Brook Street, nie potrafił się oprzeć, aby nie sięgać od czasu do czasu po niewinne wynurzenia młodej kobiety, którą jego rozpustny ojciec zamierzał uczynić swą dziwką.

Zacisnął szczęki na myśl o rozwiązanym, aroganckim mężczyźnie, który miał na uwadze jedynie własne, egoistyczne potrzeby. Odczuwał też mimowolną satysfakcję spowodowaną tym, że koleje losu zmusiły tego człowieka, by uznał swego nieprawego syna za dziedzica. Przez dwadzieścia osiem lat ignorował chłopca, a potem młodego mężczyznę, uważając go jedynie za kosztowną pomyłkę, bękarta spłodzonego z jedną z jakże licznych, przelotnych kochanek.

Dwa lata temu, śmiertelnie chory, posłał po Justina i zaoferował jedyną rzecz, jakiej przyjęcia syn nie mógł odmówić.

Swoje nazwisko.

Nawet fortuna Greville'ów oraz władza i prestiż związane z tytułem nie zwabiłyby go tak skutecznie. To nazwiska pragnął, to za nim tęsknił od dzieciństwa. Przyjął propozycję adopcji i został Justinem Bedfordem Rossem, ponieważ w ten sposób przestawał być bękartem, wyśmiewanym i pogardzanym, odkąd sięgał pamięcią.

Pogrzebał w stosie listów, wyjął kolejny i przebiegł wzrokiem treść:

Nadal pilnie się uczę. Nim opuściłam rodzinny dom w Ewhurst, musiałam poznać nieco rachunki, by pomóc ojcu przy sprzedaży na rynku bydła i zbiorów. Tutaj przestudiowałam cały Podręcznik Arytmetyki dla Młodych Dam i stałam się całkiem biegłą w matematyce. Drugi mój ulubiony przedmiot to historia,

zwłaszcza starożytnego Egiptu, Rzymu i Grecji. Nie do wiary, że kobiety chodziły wtedy na pół nagie!

Uśmiechnął się kątem ust, poskładał list i odłożył z powrotem na stos. Tak jak obiecał, dotrzymał warunków układu zawartego z Ariel Summers przed ponad czterema laty. Dziewczyna skończyła niedawno osiemnaście lat i była gotowa opuścić Szkołę dla Młodych Panien pani Penworthy, kosztowną placówkę, którą ojciec dla niej wyszukał.

Odkąd został lordem, wyobrażał sobie tysiące razy, jak też dziewczyna wygląda. Jednego mógł być pewien – nie brakowało jej urody. Jego ojciec miał w kwestii kobiet znakomity gust. Zastanawiał się więc raczej, czy jest ciemno-, czy jasnowłosa, wysoka czy niska. Nie miał o tym najmniejszego pojęcia, a jednak czuł, iż dzięki listom poznał ją lepiej niż kogokolwiek przedtem.

Nie wiedział jeszcze, co z nią robi – zakończyła co prawda edukację, lecz była niewinną panienką, którą jego ojciec planował wykorzystać, dlatego Justin czuł się za nią do pewnego stopnia odpowiedzialny. Nie miała rodziny, nikogo, kto by się nią zajął. Cokolwiek zdecyduje, nie postąpi tak, jak postąpił wobec niego ojciec: nie odrzuci jej.

Sięgnął po białe gęsie pióro, zanurzył je w kałamarzu i przelał na papier kilka pierwszych słów. W liście informował Ariel, co ma zrobić, kiedy opuści progi szkoły.

Wyśle powóz, który przywiezie ją do miejskiej rezydencji Greville'ów w Londynie. Interesy zmuszają go, aby wyjechał w tym czasie na kilka tygodni do Liverpoolu, lecz kiedy wróci, postanowią, jak będzie wyglądała jej przyszłość. Podpisał list po prostu: *Ukłony, lord Greville.*

Przyszło mu do głowy, że to wysoce niewłaściwe, by młoda dama zamieszkała w rezydencji samotnego mężczyzny, nie przejmował się jednak konwenansami i nie zamierzał zadawać sobie więcej trudu, aniżeli już to

uczynił. Zatrudni dla niej pokojówkę, osobę, która będzie wiedziała, co jej grozi, jeśli okaże się niedyskretna, tak jak wiedziała reszta jego służby.

Przeczytał jeszcze raz to, co napisał, zapieczętował list woskiem i odcisnął na nim herb Greville'ów wyobrażający jastrzębia, spadającego z przestworzy na zająca. Zadzwoił na lokaja, a kiedy służący pospiesznie przybiegł, wręczył mu dwupensówkę i polecił wysłać list.

* * *

Ariel wyszła z pokoju przydzielonego jej w rezydencji Greville'ów i zbiegła pospiesznie szeroką kamienną klatką schodową. Przebywała w mieście od blisko dwóch tygodni, a każdy dzień był bardziej ekscytujący od poprzedniego. Zamieszkała w Londynie! W Londynie! Kiedyś za nic nie uwierzyłyby, że to w ogóle możliwe.

Nadal trudno jej było uwierzyć, jak wielkie zmiany zaszły w jej życiu w ciągu czterech ostatnich lat. Uzyskała gruntowne wykształcenie, potrafiła czytać po francusku i łacinie oraz wystawiać się jak osoba dobrze urodzona. Nosila modne suknie i jeździła drogim czarnym powozem lorda Greville'a, choć, przynajmniej na razie, nie zapuściła się zbyt daleko. Oczywiście, dom nie był taki, jak sobie wyobrażała. Nie przypominał w niczym wspaniałej wiejskiej rezydencji lorda, Greville Hall.

Zbudowany z grubego, szarego kamienia i ciężkich belek, liczył sobie co najmniej dwieście lat. Ponura budowla miała poczerńiałe od dymu krokwie i zbyt mało okien. Nic dziwnego, że lord wolał spędzać czas na wsi!

Ariel była jednak w Londynie, na najlepszej drodze do spełnienia marzeń. I choć niekiedy czuła się jeszcze w głębi duszy jak prosta wiejska dziewczyna, nie chciała by znajdować się nigdzie indziej na świecie!

Ubrana w suknię z muślinu barwy moreli, ozdobioną białymi różyczkami, spod której wystawała pobłyskując

wesoło wąska plisowana spódnica, Ariel wetknęła pasmo jasnoblond włosów w upięte wysoko loczki i weszła do Czerwonego Pokoju.

Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła przyjaciółkę, Kassandra Wentworth, siedzącą na pokrytej aksamitem sofie w kolorze burgunda.

– Przyszłaś! Och, Kitt, nie byłam pewna, czy zechcesz wpaść! – Przyjaciółka wstała i dziewczęta się uściskały.

– Naprawdę w to wątpiłaś? Nie bądź niemądra, nie mogłam się wprost doczekać, żeby się z tobą zobaczyć. Wymagało to jednak odrobiny zachodu. Macosze z pewnością nie spodobałoby się, że odwiedzam cię w domu nieżonatego mężczyzny.

– Zapewne.

– Napisałaś, że lord nie wrócił jeszcze z podróży w interesach.

– W rzeczy samej.

– Co zrobisz, gdy wróci?

Ariel przygryzła wargę i usiadła na skraju sofy.

– Porozmawiam z nim. Spróbuję przekonać. Zdaję sobie sprawę, że wydał na mnie przez te cztery lata dużo pieniędzy, ale z pewnością znajdę sposób, by mu je oddać.

Kitt przewróciła oczami o tęczówkach odrobinę jaśniejszych niżli jej suknia.

– Tak, oddasz mu je... za mniej więcej sto lat. – Kitt była niższa od Ariel i nie tak smukła. Miała jaskraworude włosy oraz szelmowski uśmiech. Była najmłodszą córką wicehrabiego Stocktona, wdowca po pięćdziesiątce, który wziął sobie za żonę dziewczynę starszą zaledwie o kilka lat od córki.

Ariel poruszyła się niespokojnie i jęła układać fałdy sukni.

– Może nie będzie zależało mu aż tak na pieniądzach. Jeżeli wyjaśnię, że kiedy zawieraliśmy układ, nie byłam do końca świadoma, na co się decyduję, może wykaże się rozsądkiem. Jest w końcu lordem, człowiekiem bardzo

zamożnym. Jeśli chce mieć kochankę, może wziąć sobie każdą, która mu się spodoba.

– On chce ciebie, Ariel. To dlatego zgodził się przed laty na tę szaloną propozycję.

Ariel zerknęła spod oka na przyjaciółkę.

– Kiedy ostatnio mnie widział, byłam dzieckiem. Nie wie nawet, jak teraz wyglądam.

Kitt przyjrzała się ostentacyjnie nieskazitelnej cerze Ariel, delikatnym rysom i srebrnoblond włosom.

– Cóż, to pewne, że się nie rozczaruje.

Ariel spuściła wzrok. Nagle zabrakło jej tchu.

– Dałam słowo. Cokolwiek się stanie, będę zmuszona go dotrzymać. Nie mogę złamać obietnicy, chyba że mnie z niej zwolni.

Kitt westchnęła, świadoma, że kiedy Ariel raz podjęła decyzję, trudno było ją od niej odwieść.

– Napisałaś, że kogoś poznałaś. Może on mógłby pomóc.

Ariel uśmiechnęła się radośnie. Ponure myśli zniknęły niczym zdmuchnięte.

– Och, Kitt, ledwie mogę w to uwierzyć. To przypadek, czysty przypadek, cud – a może raczej przeznaczenie, że wpadliśmy na siebie w ten sposób. Był piękny dzień, a niedaleko stąd jest park. Poszłam się przejść i on tam był.

– Kto?

Ariel się uśmiechnęła.

– Mój czarujący książę, oczywiście. Jasnowłosy i piękny, chyba najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziałam. Nazywa się Phillip Marlin i jest drugim synem lorda Wiltona.

Kassandra próbowała przypomnieć sobie twarz Marlina i to, czy spotkała się już z nim w przeszłości, na próżno jednak. Wreszcie potrząsnęła głową.

– Nazwisko brzmi znajomo, lecz chyba go nie poznałam. Może ojciec go zna.